

MOC Z ZAŚWIATÓW

Paweł Krupa OP

**MOC
Z ZAŚWIATÓW**

Wydawnictwo WAM

© Wydawnictwo WAM, 2019
© Anna Wasiewicz, Paweł Krupa OP

Opracowanie: Anna Wasiewicz
Opieka redakcyjna: Kama Hawryszków
Korekta: Agnieszka Zielińska, Małgorzata Sękalska Strefa Słowa
Skład i opracowanie graficzne: Lucyna Sterczewska
Projekt okładki: Emilia Pyza

Za zgodą
Przełożonego Polskiej Prowincji Dominikanów,
Pawła Kozackiego OP, prowincjała,
Warszawa, 21 października 2019 r., Reg. Prow. 623/19.

ISBN 978-83-277-2320-8

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
www.wydawnictwowam.pl

druk: AMW • Wrocław
Publikację wydrukowano na papierze IGEPa super brite 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez IGEPa Polska Sp. z o.o.



Od autora

Kiedy pytają mnie, o czym są książki z serii „Boski adwokat”, odczuwam spore zakłopotanie. Bracia opowiadali mi, że kiedyś, gdy głosiłem w kościele kazanie, jeden z nich wszedł do zakrystii i zapytał: „Kto głosi kazanie?”. „Krupa”, usłyszał w odpowiedzi. „A o czym mówisz?” „Jak zwykle – o sobie!” To prawda, często mówię o sobie w tych książkach. Czy jednak można opowiedzieć o doświadczeniu życia chrześcijańskiego, nie odwołując się do konkretnego przypadku? A człowiekiem, którego życie i doświadczenie znam najlepiej, jestem ja sam. Czym są żywoty świętych, jeśli nie próbą pokazania, jak w codziennym życiu zwyczajnych ludzi dokonuje się owa tajemnicza i życiodajna relacja pomiędzy Stwórcą i stworzeniem? Zapewniam, że wcale nie myślę o moim życiu jako o przykładzie, który należy naśladować, bynajmniej! Nie jestem modelem, nie jestem miarą. Mam tylko pewną zdolność czytania tego, co mi się przydarza, jako swoistej przypowieści o Bogu i człowieku. Fascynuje mnie jakiś dziwny dialog, który odbywa się pomiędzy tym, co robię, co mówię, co wybieram i czego doświadczam, a tym, co zwykle nazywa się Bożą opatrnością. Od bardzo dawna

jestem przekonany, że wszystko, co się dzieje w mikro- i makroświecie, dzieje się ze względu na mnie. Spóźniony pociąg, nieoczekiwane spotkanie, huragan na Hawajach, czyjaś śmierć lub narodziny, przeczytany wiersz, myśli, słowa, kłótnie, pojednania - wszystko jest częścią jakiejś wielkiej opowieści, która ma dwóch autorów: mnie i Boga. Jak w szachach: mój ruch, Jego ruch, moje zagranie, Jego zagranie. Moje - często chaotyczne, intuicyjne, na oślep. Jego - skupione, precyzyjne, przewidujące partię na nie-skończoną ilość posunięć do przodu wraz z całym mnóstwem drobnych rzeczy, które im będą towarzyszyć. Czy myśląc tak, jestem pretensjonalny? Nie, bo wiem, że w życiu innych dzieje się dokładnie tak samo. W twoim życiu Bóg robi wszystko ze względu na ciebie, w życiu jego i jej - ze względu na nich. Z każdym gra osobiście, jakby w ogromnym wszechświecie nikogo poza tą osobą nie było. Jak On to łączy potem w jedną całość, pozostanie na zawsze Jego słodką tajemnicą. Dla nas to niewyobrażalne, ale Jemu się udaje. Czuję dreszcz radosnego zachwytu, kiedy myślę o niezwykłych zdolnościach Boga.

Anna Wasiewicz, bez której nie byłoby tej książki, myśli podobnie. Może dlatego tak lubimy ze sobą rozmawiać, dzielić się tym, co mamy w sercach i w głowach. Poza tym oboje lubimy ciekawe historie. Te książki to owoc takich wielokrotnych długich pogaduszek. To zdrobienie przywołuje mi na myśl inne słowo, a mianowicie „gadaninka”, którym Janusz Korczak nazywał swoje radiowe pogadanki dla dzieci. Wszyscy wiemy,

jak wiele mądrości i dobra niosły te gadaninki Starego Doktora. Nie chcemy się porównywać, ale ufamy, Anna i ja, że i nasze gadaninki przyniosą czytającym trochę uśmiechu i nadziei. W drodze ku Bogu tak bardzo ich nam potrzeba.



Złamana ręka i siła opowieści

Bardzo wierzę w moc opowieści, w siłę gawędziarskiego przekazu. Nauczyłem się tego od starszych ludzi.

Przeżyłem w dzieciństwie niezwykle wydarzenie, które utwierdziło mnie w przekonaniu, że słowa mają wielką moc. Byłem wówczas w drugiej klasie szkoły podstawowej i któregoś dnia śmiałem się z mojego starszego o dwa lata kolegi, którego widziałem w komży przy ołtarzu. „Jacek ministrant” czy nawet „Jacek ministrantek” – wołałem na niego. „Antek ministrantek” byłoby lepiej, ale to był Jacek. Zaczepiałem go tak, siedząc na ławeczce na podwórku szkolnym. On w końcu mocno rozeźlony podszedł, popchnął mnie i ja z tej ławki spadłem, ale tak nieszczęśliwie, że lewa ręka podwinęła mi się w nadgarstku i kość pękła. Popłakałem się, poszedłem do domu, ręka mi po drodze spuchła, ale widocznie nie za bardzo, bo moja mama, pielęgniarzka, która z zasady nie dawała się nabrać na żadne choroby, stwierdziła, że przyłoży mi jakiś kompres – i na tym był koniec pochylania się nad moim bólem i cierpieniem. Przez tydzień chodziłem z nieopatrzoną złamaną ręką, a kiedy płakałem, słyszałem od mamy: „Dobrze, już dobrze, nic się nie dzieje,

nic cię tam nie boli”. Prawie przestałem nią ruszać, żeby jak najmniej bolała. I był tylko jeden moment, kiedy całkowicie zapomniałem o bólu, przestawałem go odczuwać – na podwórku. Była wczesna jesień, początek szkoły, wrzesień. Na naszym podwórku przesiadywała bodaj prababcia jednej z moich koleżanek, pani Chmielewska. Była Lwowianką, żoną przedwojennego inżyniera. Mieszkała na czwartym piętrze bez windy, więc kiedy schodziła na dół – opierając się na parasolce, w sukni do ziemi, z koronkowym żabocikiem, z białymi włosami upiętymi do góry w kok i drucianymi okularami na nosie – wyglądała jak żywcem wyjęta z XIX wieku, niczym nobliwa starsza pani z baśni Walta Disneya. Schodziła więc z tego czwartego piętra, siadała na podwórkowej ławce i musiała sobie posiedzieć, odpocząć, zanim znowu wdrapała się z powrotem na górę. A kiedy tak odpoczywała, snuła rozmaite opowieści. To nie były bajki. Opowiadała nam historie o Lwowie, o ludziach tam żyjących, o życiu, które tam wiodła. Ja oczywiście nie miałem pojęcia, co to jest Lwów, ale słuchałem, tak jak i inne dzieci, z przejęciem; byłem dość wdzięcznym słuchaczem. Tamtego dnia, kiedy ze złamaną (choć za taką nieuznaną) ręką zszedłem na podwórko i usiadłem obok niej, pani Chmielewska ujęła mój nadgarstek i spytała, dlaczego jest taki spuchnięty. „Przewróciłem się i stłukłem go sobie”. „Aha, no to daj mi tę rękę”. I dalej opowiadała, lekko gładząc mnie po złamanym miejscu. Nic nie czułem, najmniejszego bólu, ani przez

chwilę. To było cudowne doświadczenie, absolutnie cudowne, które przypisuję nie tyle mocy dotyku, chociaż ten dotyk był szalenie ważny, ile mocy jej słów, sile opowieści. Ona mnie odrywała od mojego bólu i słowem zabierała mnie z mojego cierpienia w inne miejsca, inne światy. Po czym kończyła się opowieść, przez jakiś czas „czar” jeszcze działał, a potem ból powracał. Powtórzyło się to ze dwa, trzy razy, a po tygodniu poszliśmy wreszcie do szpitala, w którym moja mama była pielęgniarką. Lekarz nie posiadał się z oburzenia: „Matka pielęgniarka, do jasnej cholery, a dziecko przez tydzień ze złamaną ręką chodzi!”. Moja biedna mama była strasznie zawstydzona, przemawiała do mnie czule: „Pawełku kochany”, a kiedy w piątej klasie złamałem drugą rękę, to nawet sekundy nie czekała, tylko natychmiast pobiegła ze mną na pogotowie.

Drugą postacią władającą czarem słowa była moja niania, pani Majewska, która chcąc mnie zmusić do jedzenia, snuła przeróżne opowieści w taki sposób, że nawet nie zauważałem, kiedy zjadałem cały obiad. Trzecim gawędziarzem mojego dzieciństwa był mój dziadek – on nie tylko opowiadał niesamowicie, ale także wciągał mnie w poważne, dorosłe rozmowy.

Był jeszcze ktoś; olśniewała mnie zdolnością opowiadania o kupowaniu kapusty w taki sposób, że w jej ustach rzecz cała zamieniała się w pyszną przygodę – pani Hela Mackiewicz, przyjaciółka moich rodziców, choć sporo od nich starsza, która także pochodziła ze Wschodu,

z Wilna, i zachowała malowniczy wileński akcent. Słuchałem jej jak zaczarowany. Bardzo dużo się od niej nauczyłem. Dramatyzowała swoje wypowiedzi, prowadziła słuchacza do punktu kulminacyjnego, napięcie rosło, wstrzymywaliśmy oddech i bum! Spadała na nas pointa, zabawna lub wzruszająca - to zależało od intencji gawędziarki.

Dlaczego te opowieści tak na mnie działały? Nie wiem. To jest chyba jakaś genetyczna skłonność, wrażliwość ducha, którą człowiek dostaje w prezencie. Ja w każdym razie wraz z innymi władzami duszy dostałem od Boga zdolność do słuchania i opowiadania.



Pijaczek na skrzyżowaniu – rzecz o oddawaniu życia

Moc opowieści tkwi nie tylko w pięknym opowiadaniu, ale także w usilnym, życzliwym, niejako stęsknionym słowa słuchaniu. Wiele lat temu, gdzieś na początku mojego kapłaństwa, odwiedzałem rodzinny Żyrardów i jednego z moich przyjaciół, który po spotkaniu postanowił mnie odprowadzić do domu. Szliśmy sobie przez centrum miasta – ja w habicie – i nagle na skrzyżowaniu zaczepił mnie pijany mężczyzna, czegoś uparcie się ode mnie domagając. Kolega mnie odciągał: „Chodź, chodź, zostaw go”, ale ja się zatrzymałem: „Nie, poczekaj, posłuchajmy, co on mówi”. I ten mężczyzna, chwając się na nogach, zaczął mi opowiadać o pogrzebie swojej matki. Minęło już parę lat od tego wydarzenia, ale jemu – wiadomo, *in vino veritas* – ten pogrzeb leżał na sercu. A to niestety głównie dlatego, że kiedy przyszedł do kancelarii parafialnej w swojej parafii, na wstępie usłyszał, ile za tę „usługę” będzie musiał zapłacić. Nie miał takich pieniędzy, w związku z czym zaczęło się jakieś targowanie; usłyszał, czego to nie będzie na tym pogrzebie, skoro

nie zapłacił odpowiedniej kwoty. Opowiadał to ze łzami w oczach i pytał, dlaczego właśnie tak. Nie pamiętam, co mu odpowiedziałem, ale staliśmy dłuższą chwilę i rozmawialiśmy. Pożegnaliśmy się uściskiem dłoni, po czym ruszyłem dalej z moim przyjacielem, który stwierdził sceptycznie: „I jaki to miało sens, przecież on nawet nie będzie pamiętał tej rozmowy, jest kompletnie pijany?”. Ja mu wtedy bardzo poważnie odpowiedziałem: „Wiesz co, on po tylu latach ma w pamięci księdza, który przez swoją głupią postawę poważnie go zranił. Może jutro rano do tego wspomnienia dołączy także mgliste wspomnienie księdza, który zatrzymał się na rogu ulicy i słuchał ze współczuciem jego żalów”.

Ktoś powie, że to niewiele, ale to może być bardzo dużo. „Nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich” (J 15,13). Słyszając te słowa z Ewangelii św. Jana, przeważnie myślimy o męczeństwie – przede wszystkim o ofierze Chrystusa, który za nas oddał życie, później o męczeństwie cierpiących w imię wiary lub innych wartości, o poświęceniu, z jakim ktoś opiekuje się bliźnimi – rodzice dziećmi, dzieci starszymi rodzicami – o miłosierdziu względem ubogich; to wszystko jest oddawaniem życia. A ja chciałbym zwrócić uwagę na oddawanie życia, które dokonuje się za każdym razem, kiedy poświęcamy komuś czas i uwagę, aby wysłuchać, co ma do powiedzenia. Bo czas to najcenniejsza rzecz, jaką mamy, czas to nasze życie – ono przecież dokonuje się w czasie. I ten czas nie wróci,

tego czasu nikt nam nie odda. Dziś jest jeszcze cenniejszy, bo bardziej deficytowy. Za każdym więc razem, kiedy decydujemy się na poświęcenie komuś czasu, na wysłuchanie kogoś, może nawet na usłyszenie po raz dziesiąty tej samej historii, którą ktoś bardzo chce nam opowiedzieć, szczególnie jeśli ktoś nas zaczepia, gdy bardzo się spieszymy, a on, czy ona coś chce nam zakomunikować, czymś się podzielić, może o coś poprosić – dajemy mu nasze życie. Gest cierpliwego wysłuchania jest oddaniem życia, bo oddanie życia to nie tylko śmierć lub męczeńskie poświęcenie. Chrystus, Ten, który jako Słowo Ojca żyje poza czasem, wszedł w czas ziemski i dał nam go cały. My, którzy żyjemy w czasie, możemy odrobinę tego czasu komuś ofiarować. A jeśli to zrobimy, oddamy mu nasze życie. Nawet niewielki kawałek to już całkiem sporo, bo przecież nie wiemy, ile czasu jeszcze nam zostało.



Nie mniej niż zero **(i Jedyńka, która wszystko zmienia)**

Kiedy kilka lat temu sprowadzałem się do klasztoru mniszek dominikańskich w Radoniach, poszedłem do odpowiedniego urzędu zarejestrować samochód, którym mnie obdarowali moi bracia z klasztoru na warszawskim Służewie. Pani w urzędzie, wydając mi tablice rejestracyjne, wyraziła wątpliwość: „Oj, nie wiem czy ksiądz je przyjmie”. „A dlaczego mam nie przyjąć?” „No, bo tam trzynastka jest, taka pechowa”. Ja na takie dictum zamarłem, po czym rzekłem: „Proszę pani, jeżeli ksiądz miałby wierzyć w zabobony, to dokąd by ten świat zmierzał?”. Wziąłem więc owe podejrzane tablice i zobaczyłem, że faktycznie numer jest dość oryginalny: 01113. Kiedy przyjechałem na Służew z zamontowanymi nowymi tablicami, jeden z braci zwrócił na nie uwagę i powiedział: „Ach, jaka wspaniała tablica, zobacz sam: trójka - to Trójca Święta, jeden, jeden, jeden - to Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch Święty, a to zero na początku... to ty!”. I dzięki temu doskonale zapamiętałem numer mojego auta.

Chrystus jest winnym krzewem, a my latoroślami (por. J 15,1-11). Ta jedność z Chrystusem sprawia, że nie jesteśmy zerem. Nie jesteśmy zerem, ponieważ przed nami stoi Jedyńka, która wszystko zmienia. Możemy być dziesiątką, możemy być setką, tysiącem, milionem. Zera sporo zmieniają, kiedy jest ich dużo, ale nic nie znaczą, jeżeli nie ma przed nimi jedyńki. Oczywiście, człowiek jest w stanie czynić dobro i dokonywać wspaniałych dzieł nawet, jeżeli nie przyjmuje Chrystusa. Jest to możliwe, bo ten świat jest stworzony przez Boga i każdy człowiek (każde stworzenie) w dobru Boga uczestniczy. A czyniąc dobro, odwołuje się do Tego, który jest dobry, który jest źródłem dobra. Jednak żeby nasze czyny, słowa, myśli miały znaczenie dla królestwa Bożego, które nie jest z tego świata (por. J 18,36), a do którego jesteśmy wezwani, muszą dokonywać się w jedności z Chrystusem. Mamy taką możliwość, jeżeli działamy z Nim i w Nim. Nasze dobre czyny nabierają wtedy wymiaru absolutnie niewyobrażalnego. Z zewnątrz może się wydawać, że to jest to samo - ktoś podaje kubek wody spragnionemu - ale od wewnątrz, jeżeli czynimy coś w imię Boga, ten gest nabiera wymiaru wiecznego. Ktoś powie: „A cóż mnie to obchodzi - ważne, żeby dać kubek wody spragnionemu”. To prawda, i moglibyśmy na tym poprzestać, gdyby wraz ze śmiercią nasze życie się kończyło. My jednak jesteśmy przeznaczeni do życia wiecznego i chcemy, żeby nasze czyny po pierwsze o życiu wiecznym świadczyły już teraz, tutaj, a ponadto żeby to, co

robimy, zasługiwało na życie wieczne. Mamy taki przywilej, że możemy współbudować z Bogiem nasze życie wieczne. A choć pozostanie ono zawsze niezasłużonym darem dobrego Boga, będziemy w nim mieli swoją cegiełkę. Taka perspektywa daje pokój i radość, jakiej nikt ani nic na tym świecie dać nie może.

Daje nam to również głębsze poznanie nas samych. W Pierwszym Liście św. Jana Apostoła pada takie dziwne zdanie: „Jeżeli serce nasze nas oskarża, to Bóg jest większy od naszego serca i zna wszystko. Jeżeli nasze serce nas nie oskarża, mamy ufność wobec Boga” (1 J 3,20-21). My nieraz doskonale wiemy, że zrobiliśmy coś nie tak, że coś nas uwiera, coś nam leży na sumieniu. Nasze serce, które jest symbolem naszego wnętrza, a więc również głosu naszego sumienia, podpowiada nam, że coś jest nie tak. Ale serce poznaje tylko to, co jest dla nas (dla niego) dostępne. Bóg widzi lepiej – zarówno dobro, jak i brak dobra. Może się okazać, że serce czegoś nam nie wyrzuca, a Bóg widzi, że tam zamiast dobra jest jego brak. Jeżeli jesteśmy blisko z Chrystusem i przyjmujemy Jego łaskę, to nasze serce, nasze sumienie powoli uzgadnia się z wiedzą samego Boga. I dlatego św. Jan mówi: „Jeżeli serce was nie oskarża – a w domyśle: jesteście przecież blisko Boga – to możecie być spokojni, że i Bóg nie widzi tam niczego złego”. Jeżeli jesteśmy blisko Chrystusa, jeżeli pozwalamy Jego łasce płynąć w naszym sercu, nasze serce bije zgodnie z rytmem Bożego serca. Lepiej słyszymy Pana i w naszym życiu jest coraz mniej takich

sytuacji, kiedy sumienie coś nam wyrzuca, choć nie powinno, bo niczego złego nie zrobiliśmy, albo odwrotnie – sumienie milczy, kiedy powinno nam robić wyrzuty. Dopiero zespolenie z Jezusem daje nam komfort widzenia prawdy. Jeżeli jesteśmy latoroślami winnego krzewu, to znaczy, że jesteśmy tą samą rośliną, że te same soki w nas płyną, że naprawdę jesteśmy z Nim jedno. To niesamowity przywilej, którego najmocniejszym wyrazem jest komunia święta – przedziwny sakrament, w którym Chrystus łączy się z nami nie tylko duchowo, ale zupełnie bezpośrednio, wręcz organicznie. Jeżeli z tego przywileju korzystamy, to mamy możliwość z zera stawać się dziesiątką, setką, tysiącem, milionem. Ważne, żeby Jedyńka była na początku.



***Muppet Show*, czyli boskie życie!**

Moje pokolenie doskonale pamięta, a młodsze też pewnie zna *Muppet Show*. W tej genialnej serii Jima Bensona był skecz, który mi zapadł w pamięć: idzie sobie jeden z Muppetów i napotyka maszynę przypominającą bankomat, która zaczepia go, mówiąc słodkim głosem: „Wrzuć monetę, a powiem ci, kim jesteś”. On się zatrzymuje, wrzuca pieniążek i słyszy: „Wrzuć jeszcze jeden”. Wrzuca. „Wrzuć jeszcze jeden”. Wrzuca. „Wrzuć jeszcze jeden”. Wrzuca. „Wrzuć jeszcze jeden”. Wrzuca. „Wrzuć jeszcze jeden”. On się wtedy wścieka, zaczyna walić w tę maszynę pięściami i słyszy: „Łatwo wpadasz w gniew”.

Zabawne i wcale nie oderwane od rzeczywistości, bo uczymy się, kim jesteśmy, kiedy powtarzamy pewne rzeczy w naszym życiu. Jeżeli wiernie powtarzamy modlitwę, jeżeli wiernie powtarzamy dobre czyny, to stajemy się ludźmi modlitwy i ludźmi dobrymi – czyniącymi dobrze. Jeżeli zaś wiernie powtarzamy zło, wiernie powtarzamy grzech, to stajemy się ludźmi złymi – uczestniczącymi w złu. To jest takie proste. I oczywiście w tym momencie ktoś zawoła: „Ojej, ja przecież często grzeszę!”. A czy często powtarzasz modlitwę? A dobre czyny? Podejmij

to wyzwanie, podejmij walkę o swoje serce. Ta walka to urabianie serca powszednią, bezpretensjonalną, nieraz monotonna, prostą wiernością. Codziennymi zwyczajnymi aktami modlitwy, gestami dobroci. To naprawdę nie jest specjalnie skomplikowane. Najtrudniejsza jest właśnie wierność. Akceptacja zwyczajności, bo to rzadko są jakieś wielkie duchowe fajerwerki. Wytrwałość w zwyczajności. Jeżeli te trudności przyjmiemy, jeżeli się z nimi uporamy, nasze serce, nasze wnętrze, a przez to nasze życie będzie się stawać coraz bardziej Chrystusowe. Ba, to dopiero będzie boskie życie!



Oszczędność majątnych i kultura ascezy

Zdarzyło mi się znać ludzi bogatych i zwrócił moją uwagę fakt, że ludzie naprawdę majątni są dość oszczędni, nie wyrzucają pieniędzy na głupstwa. Potrafią zainwestować ciężkie miliony w jakieś przedsięwzięcie, a jednocześnie czujnie pilnować codziennych, drobnych wydatków. Jeden z przykładów: z pewnym moim znajomym, który ma bardzo dużo pieniędzy, jesteśmy w Castel Gandolfo. Upał. „Usiądźmy sobie, zjedźmy lody” – proponuję. A on na to: „Wiesz co, chodźmy dalej, lody będą takie same, ale kosztować będą o połowę mniej”. Co za skąpiec, pomyślałem, i odparłem: „Nie, usiądźmy sobie na tym placu, tu sobie zjedźmy, nie żałujmy sobie, widok na pałac papieski jest tego wart”. Ale on był uparty, argumentował, że jeżeli pójdziemy dalej, kupimy tam lody, wrócimy z nimi i zjemy je, siedząc przy fontannie z widokiem na pałac, to wrażenia estetyczne będą takie same. Pierwsza moja odruchowa myśl była potępieńcza: skąpiec, ale chwilę później przyszło otrzeźwienie: on ma absolutną rację!

Mam wrażenie, że to jest pułapka, w którą wpadają ludzie niezamożni: mają tak wielkie pragnienie, żeby być w świecie bogatszych, że nie przyjdzie im do głowy, żeby zacząć od oszczędzania. Gdy o tym mówię, często pada argument, że ludzie biedniejsi nie mają z czego oszczędzać. Być może, natomiast ja pamiętam, jak w latach dziewięćdziesiątych pojawiły się anteny satelitarne, które były wszędzie, a najwięcej ich wisiało na takich biednych gomułkowskich blokach albo odrapanych kamienicach w moim rodzinnym Żyrardowie. Swoją drogą to niesamowity widok: kamienica, która się rozpada, przegniłe drewniane schody, prawdopodobnie nie ma kanalizacji, ale w każdym oknie zamontowana antena satelitarna. To naprawdę dość często jest sprawa wyboru, a nie zawsze jego totalnego braku.

Zamożni ludzie, z którymi miałem okazję się przyjaźnić, nigdy nie obnosili się ze swoim bogactwem, a nawet kultywowali nierozrzutność i finansową dyscyplinę. Oczywiście, widać było, że ich marynarka czy koszula są bardzo dobrej jakości, ale kiedy chcieli kupić pumeks albo korkociąg, szli do sklepu „wszystko za dwa euro”, bo po co kupować korkociąg za czterdzieści euro. Ten korkociąg za dwa jest prawdopodobnie tak samo dobry jak ten za czterdzieści, a jeśli się popsuje, to zmarnujemy tylko dwa euro, a nie czterdzieści. Można powiedzieć, że to są tylko jednostki, ale jest w tym pewien wymiar społeczny: są takie środowiska, które wytworzyły w sobie – dzięki chrześcijaństwu – kulturę pewnej ascezy.

Myszę tu między innymi o pani profesor Zofii Włodek i jej bracie, którzy po mamie byli potomkami rodu Goetzów, właścicieli Okocimia. Mieszkali we dwoje w jednorodzinnej kamienicy przy ulicy Wróblewskiego w Krakowie. W latach osiemdziesiątych ta ich zamożność stała się nieco wątpliwa, bo ze wszystkiego ich ograbiono, jednak nadal byli na tyle majątni, że stać ich było na utrzymanie tego domu. Oni natomiast wydzielili tam małe mieszkanca i dzielili się miejscem z zaprzyjaźnionymi osobami za darmo lub za symboliczny czynsz. To było niesamowite.

Inny mój przyjaciel, Charles de Montalembert, był właścicielem banku. Rodzina de Montalembert to stara arystokracja, ich drzewo genealogiczne sięga pierwszej krucjaty. Przez wieki zubożeli, ale w XIX wieku odnowili majątek, a w XX jeden z ich wujów wyjechał do Argentyny, tam założył browar i stał się potentatem piwnym na całą Amerykę Południową. Zarobił ogromne pieniądze, a umierając bezpotomnie, przekazał majątek, w tym ogromne posiadłości w Patagonii, swojemu bratu we Francji. Ten olbrzymi majątek zainwestowano i rodzina założyła bank, który pozwalał im na utrzymanie pięknego średniowiecznego zamku w Burgundii: z wieżami, fosami i całym przepychem, jakiego absolutnie nie można było podejrzewać, gdy spotykało się Charlesa de Montalemberta gdzieś na ulicy. To był taki zwyczajnie wyglądający pan, lekko rozczochrany, w szarym garniturku, okularach w taniej oprawie, taki żyjący

trochę nie na tym świecie. Jeździł starym citroenem. On i jego żona, oboje głęboko wierzący. Tak wyszło, że się z nimi osobiście zaprzyjaźniłem, ale oni utrzymywali kontakty z wieloma dominikanami, bo ich praszczur przyjaźnił się z ojcem Henri-Dominique Lacordaire'em, odnowicielem francuskich dominikanów. Lacordaire zmarł w 1861 roku, a Montalembert dziesięć lat później. I przez tę ich historyczną przyjaźń rodzina Montalembertów pozostawała blisko z zakonem. Charles zapraszał czasami naszych braci do rodzinnego zamku, a później jego żona przebudowała stajnie i utworzyła tam dom re kolekcyjny. Pamiętam dość zabawną historię, jak któregoś wieczoru siedzieliśmy po kolacji w salonie, a Charles coś sobie przypomniał i powiedział do żony: „Wiesz co, Vivianne, ja się bardzo cieszę, kiedy bracia dominikanie przyjeżdżają, ale mam małą prośbę: kiedy już sobie tak tam siedzicie przy szklaneczce, to może zaczynajcie od tych mniej drogich butelek, bo tych bardzo drogich to ja mam, ehem, niezbyt wiele”. I okazało się, że przez przypadek bracia naruszyli jakieś trunki z unikatowej kolekcji, w zasadzie dzieła sztuki olbrzymiej wartości. A on tylko delikatnie zwrócił uwagę, żeby łaskawie korzystali z innej części piwniczki.